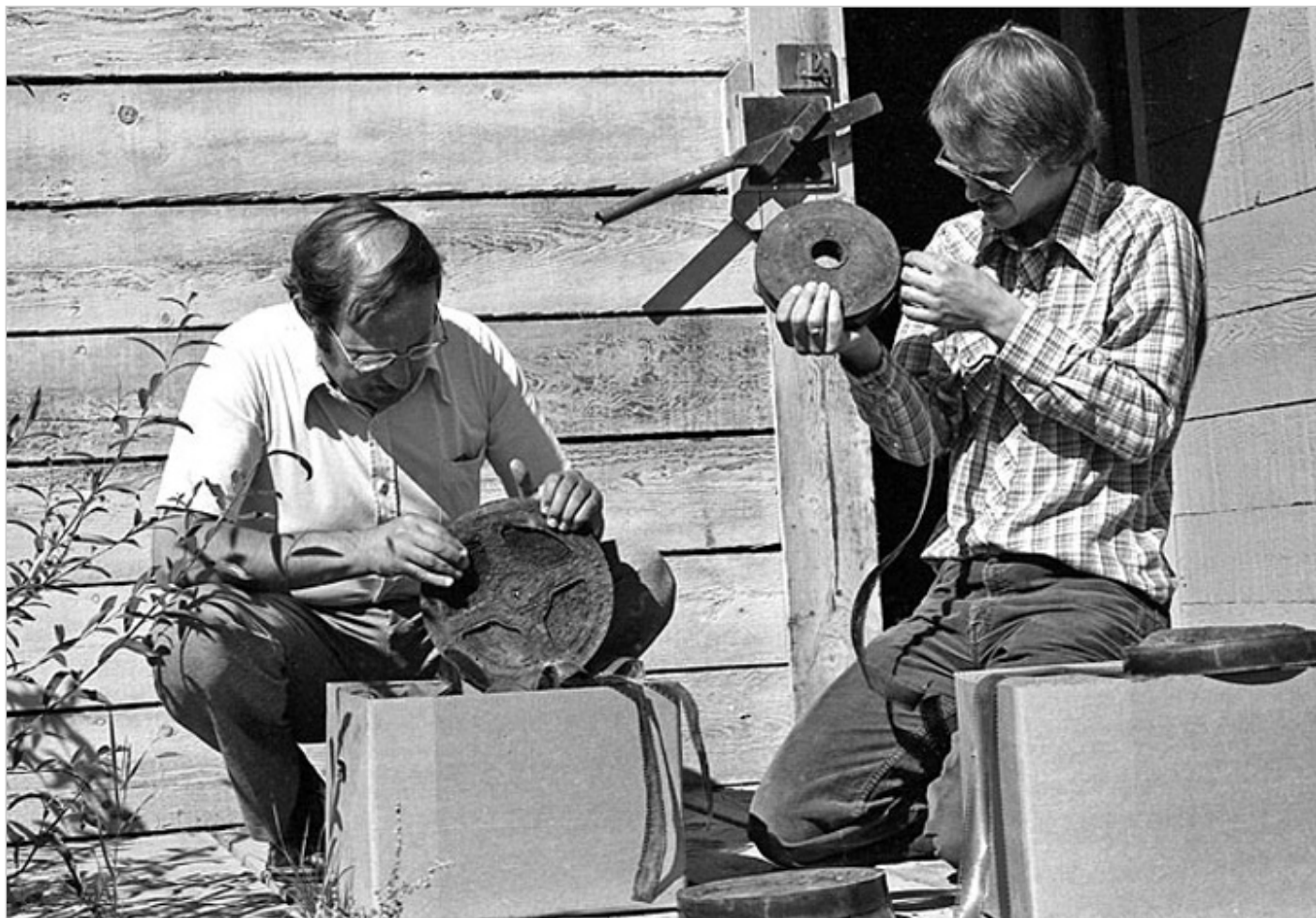


Nie wszystko umiera. 14. Millennium Docs Against Gravity Film Festival.

Korespondencja z Polski



Kadr z filmu „Dawson City. Świat zatrzymany”.

Barbara Lekarczyk-Cisek

Co roku festiwal filmów dokumentalnych Millennium Docs Against Gravity Film Festival otwiera się na nowe doznania, uwrażliwia na problemy współczesnego świata, ale także niesie pociechę, że pomimo wszystko piękna i dobra nie da się unicestwić i że człowiek i to, co w nim najlepsze, trwa w sztuce, także w sztuce filmowej.

W dniach od 12 do 21 maja 2017 r. odbył się największy w Europie festiwal filmów dokumentalnych: **Millennium Docs Against Gravity Film Festival**. W pięciu miastach: Warszawie, Wrocławiu, Gdyni, Bydgoszczy i Lublinie nie tylko zaprezentowano najnowsze dokumenty z różnych stron świata, ale odbyły się również debaty, spotkania z twórcami i dyskusje. A jeżeli ktoś miał jeszcze czas i energię, mógł po obejrzeniu kilku filmów popląsać w Klubie Festiwalowym CZUŁA JEST NOC i w ten sposób odreagować niezliczone problemy współczesnego świata.

Nagrodzone filmy - „Ostatni w Aleppo” głównym triumfATOREM



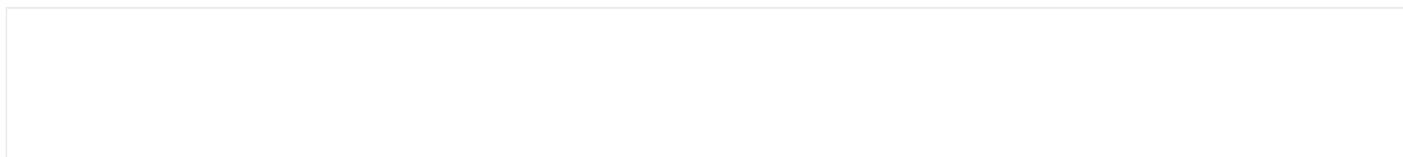
Kadr z filmu „Ostatni w Aleppo”

Jak co roku, jury w poszczególnych miastach wyłoniło najlepsze filmy. W tym roku werdykty zabrzmiały podobnie: w Warszawie zwycięskim dokumentem został film „**Ostatni w Aleppo**” (“Last Men in Aleppo”), w reżyserii **Ferasa Fayyada**, który we Wrocławiu otrzymał nagrodę specjalną za

silny, radykalny, boleśnie prawdziwy głos, który powinni usłyszeć wszyscy; za wstrząsający dokument, pokazujący ludzkie okrucieństwo i odwagę, głupotę i szlachetność; za pokazanie tego, od czego najchętniej odwracamy oczy.

Film Fayyada otrzymał również główną nagrodę w Bydgoszczy, a ponadto Grand Prix – Nagrodę Banku Millennium i 8 tys. euro.

Trailer filmu:



Kadr z filmu „Dobry listonosz”.

Natomiast we Wrocławiu Grand Prix Dolnego Śląska Marszałka

Województwa Dolnośląskiego w wysokości 3 tys. euro przyznano filmowi „**Dobry listonosz**” **Tonislava Hristova**. Jury nagrodziło „Dobrego listonosza” za

umiejętne zogniskowanie w jednym obrazie najważniejszych problemów współczesnego świata: niechęci do uchodźców, mechanizmów populizmu, wymierania wsi, arogancji władzy, starzejącego się społeczeństwa, ubóstwa, problemów przygranicznych społeczności. Jury doceniło wymiar krytyczny filmu, ale i jego doskonałą realizację w ramach gatunku, łączenie publicystyki z literacką przypowieścią, tonu anegdotycznego z realizmem.

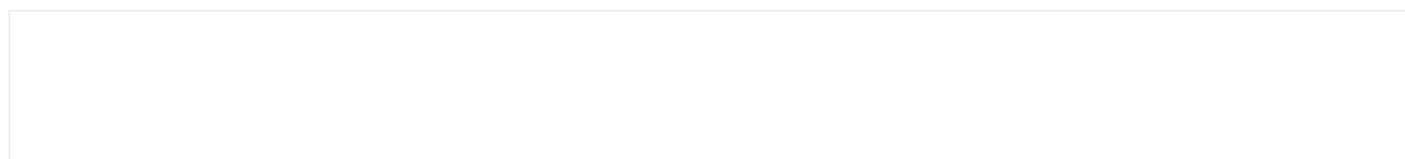
Trailer filmu:

Ten sam film otrzymał na warszawskim festiwalu wyróżnienie *ex quo* z "Safari" Ulricha Seidla.

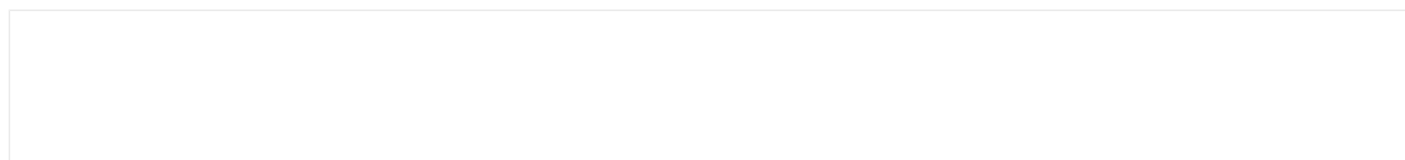
Po raz pierwszy w tym roku festiwalowa publiczność miała

szansę wyróżnić swój ulubiony tytuł. Nagroda Czytelników pisma „Co Jest Grane 24”, którzy głosowali w Warszawie, Wrocławiu, Gdyni i Bydgoszczy wraz z dwoma tysiącami euro powędrowała do **Krzysztofa Pawła Bogocza i Marcina Macuka** za film „**Happy Olo - pogodna ballada o Olku Dobie**„.

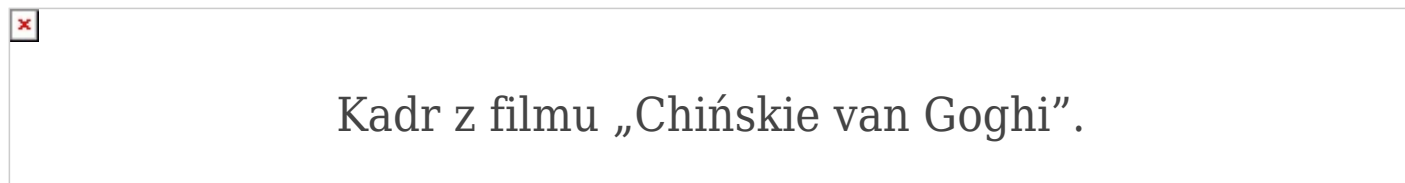
Trailer filmu:



Spośród wielu obejrzanych filmów najmocniej przemówiły do mnie trzy: „Chińskie van Goghi”, „Dawson City. Świat zatrzymany” oraz „Rumple. Jak Indianie zatrzęśli światem muzyki”. Choć nie zostały nagrodzone, (czego nie pojmuję), warte są uwagi i godne polecenia.



„Chińskie van Goghi”, czyli jak zostać... człowiekiem



Chińsko-holenderski film Haibo Yu i Kiki Tianqi Yu opowiada niecodzienną (dla nas, Europejczyków) historię. Otóż w 1989 roku pewien chiński biznesmen przekształcił niewielką robotniczą osadę Dafen w miejscowość... malarzy. Spośród mieszkańców biednych, sąsiadujących z nią wiosek, wybrał - początkowo niewielką - grupę osób, która miała zająć się malowaniem reprodukcji znanych malarzy. Ponieważ zamówień było coraz więcej, kopistów przybywało i obecnie Dafen liczy dziesięć tysięcy mieszkańców.

Na filmie oglądamy setki wiszących na sznurach, jak bielizna, kopii znanych obrazów. Przypomina to bazar w Samarkandzie, tyle, że zamiast wschodnich gobelinów i dywanów wiszą autoportrety van Gogha albo jego "Słoneczniki"...

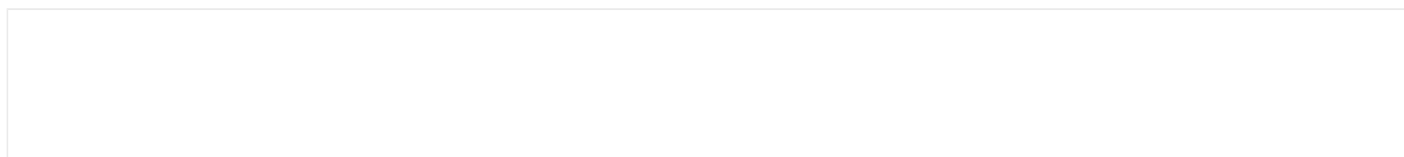
Obserwujemy także życie kopistów i ich rodzin: w pracowniach pełnych farb i wiszących płócien toczy się ich codzienne życie. Tutaj spożywają posiłki, śpią, w pracowni rodzą się i dorastają dzieci... No i przede wszystkim malują, całymi rodzinami - aby sprostać zamówieniom. Czasami trzeba w krótkim czasie namalować około tysiąca obrazów, toteż pracują zespołowo od świtu do nocy. Pracodawca sprawdza jakość kopii, każe poprawiać i ostatecznie płaci jakieś niewielkie pieniądze, które ledwo wystarczają na skromne życie.

Główny bohater filmu - Xiaoyong Zhao kopiuje obrazy od

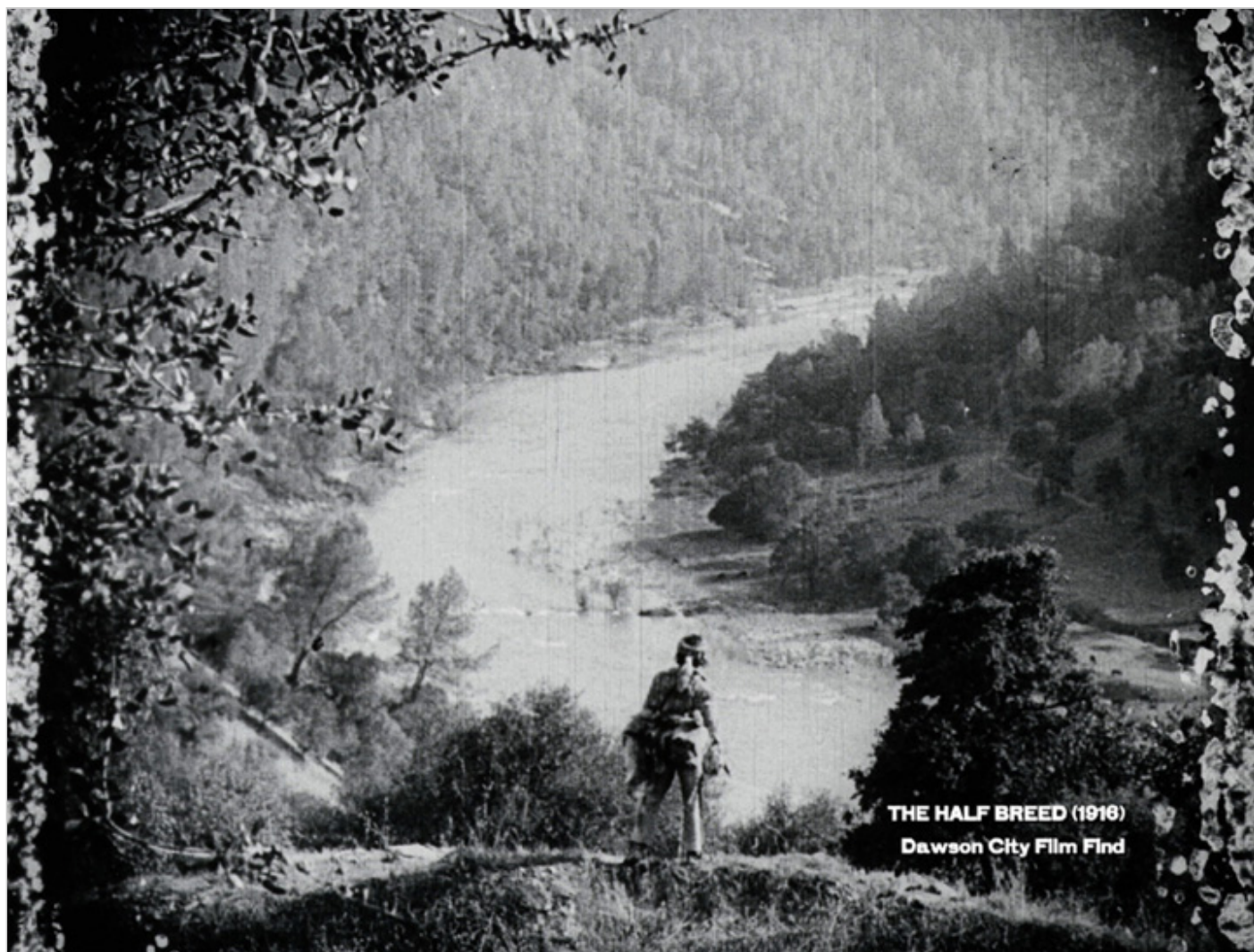
dwudziestu lat, przeważnie prace van Gogha. Pochodzi z biednej wiejskiej rodziny – rodzice zmarli przedwcześnie, żyje jednak jeszcze jego wiekowa babcia, którą z rzadka odwiedza. Poniekąd miał szczęście, znajdując takie zatrudnienie, opanował szybko umiejętność kopiowania obrazów, a potem wprowadził w tajniki tego zawodu braci i żonę. Z czasem udało mu się otrzymać także zamówienia bezpośrednie, od holenderskiego biznesmena, bo – paradoksalnie – najwięcej kopii wysyłanych jest do Amsterdamu, gdzie znajduje się muzeum Vincenta van Gogha. Ponieważ Holender obiecał, że przyjmie go pod swój dach i ugości, byle tylko opłacił sobie podróż, Zhao zaczyna marzyć o wyprawie do Europy. Pragnie zobaczyć naocznie prace artysty, którego kopiuje całe swoje dorosłe życie. Poznaje także jego życiorys. Jest w filmie scena, w której wszyscy kopiści z tej pracowni oglądają z przejęciem film o van Goghu, z Kirkem Duglasem w roli głównej. Widzą, że także był biedny i nieszczęśliwy, że nie mógł sprzedać swoich obrazów i czują, jak jest im bliski. W końcu (sądzę, że przy wsparciu autorów filmu) naszemu bohaterowi udaje się spełnić swoje największe marzenie – leci do Holandii. Po przyjeździe wszystko okazuje się nowe i zupełnie inne, niż to sobie wyobrażał. Zdumiony dostrzega swoje kopie w niewielkim sklepiku z pamiątkami, bo jego holenderski przyjaciel wcale nie jest bogaty. Co więcej, kiedy zauważa, że ceny kopii są kilkusetkrotnie droższe od ceny, którą oferował mu "biznesmen", czuje się oszukany i sfrustrowany, ale stara się tego nie okazywać. Odwiedza nie tylko Muzeum van Gogha, ale również

jedzie na jego grób. Po powrocie opowiada o swojej wizycie w Muzeum van Gogha i niewiele ma to wspólnego z rzeczywistością. W swojej opowieści Zhao jest pełnym godności, uznanym kopistą. Jednakże najważniejsza w tym filmie nie jest sama anegdota o biednym chińskim malarzu niezliczonych kopii znanych obrazów. Otóż pod wpływem tego doświadczenia budzi się w nim ludzka podmiotowość. Odtąd pragnie nie tylko kopiować, ale także malować własne dzieła. W tym celu udaje się do rodzinnej wioski i robi portret babci, a potem maluje pejzaż, w którym wzrastał. Kiedy to robi, ktoś mijający go dziwi się, czemu po prostu nie zrobi zdjęcia, ale on uśmiecha się tajemniczo i mówi, że to nie to samo... Także on nie jest już taki sam. Film piękny, bo ukazujący, jak w człowieku sprowadzonym do poziomu mrówki budzi się godność i podmiotowość. A dzieje się tak pod wpływem sztuki...

Trailer filmu:



"Dawson City. Świat zatrzymany" na taśmie filmowej.



Kadr z filmu „Dawson City. Świat zatrzymany”.

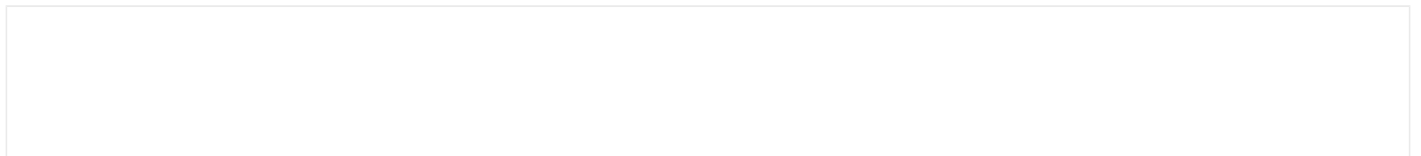
Film **Billa Morrisona** jest niezwykle nie tylko w uwagi na to, że ma cechy filozoficzno-społecznego eseju, ale także dlatego, że cały jest „utkany” z archiwaliów. Reżyser i producent zdobył już uznanie w świecie jako eksperymentator i twórca dokumentów, posługujący się metodą *fund footage*, polegającą na twórczym wykorzystaniu już istniejących materiałów filmowych innych autorów. W Polsce taki filmy zrobił Maciej J. Drygas: „Jeden dzień w PRL” czy „Cudze listy”. I są one znakomite.

Bill Morrison opowiada w swoim filmie historię Dawson City – miasta powstałego podczas tzw. gorączki złota, ale jest to zarazem meta-opowieść o historii kina i o powstaniu Ameryki. Dawson City było początkowo skromną osadą, położoną nad kanadyjską rzeką Jukon. Najpierw zostają z niej wyparci autochtoni, a następnie, w ciągu dwóch lat, liczba mieszkańców osiąga liczbę 40 tysięcy. Przewinęło się przez nią setki ludzi, którzy odegrali potem znaczącą rolę w dziejach popkultury, biznesu i polityki. Ponieważ – w przeciwieństwie do Chińczyków – Amerykanie nie chcą tylko pracować, ale pragną się zabawić, powstają w mieście kinoteatry, które cieszą się wielką popularnością. Kopie filmowe są po seansie składowane w banku (który jest za nie odpowiedzialny), ponieważ przy takich odległościach wysyłanie ich byłoby zbyt kosztowne. Ostatecznie nikt o nie nie dba, składować ich już nie ma gdzie, toteż część zostanie zniszczona, wyrzucona, spalona lub zatopiona. Po latach, w 1972 roku, kiedy zmienne losy miasteczka sprawiły, że kinoteatry przestały istnieć, pewien człowiek odnalazł przypadkiem zakopane taśmy. Blisko 500 filmów trafiło wówczas do kanadyjskich i amerykańskich archiwów i po dziś dzień służą jako nieocenione źródło wiedzy o epoce. W miasteczku, które powstało na skutek "gorączki złota" i gdzie złoża tego cennego kruszcu dawno przestały istnieć, a kopalnie jedynie dokonały ostatecznie dzieła zniszczenia pięknego niegdyś krajobrazu, otóż w tym właśnie miejscu wykopano coś bardziej cennego: zapis ludzkich historii oraz unikalne filmy fabularne, których kopie

nigdzie indziej się nie zachowały.

Film Billa Morrissona jest jednocześnie hołdem dla całej epoki kina niemego. Pojawiają się w nim postacie Chaplina i Arbuckle'a, a także dziesiątki bezimiennych dziś gwiazd. Możemy także zobaczyć, jak tworzyła się tamta rzeczywistość, jak wyglądały trudy pionierskiego życia i jak niezwykła była energia ludzi, którzy wciąż odbudowywali Dawson po kolejnych pożarach. Świat zatrzymany na taśmie filmowej – piękne, poruszające, dające do myślenia kino.

Trailer filmu:



"Rumple. Jak Indianie zatrzęśli światem muzyki"

Wielkie wrażenie zrobił na mnie także kanadyjski film **Catherine Bainbridge i Alfonso Maiorana**, przywracający zbiorowej pamięci wyparty z oficjalnej historii fakt, że to Indianie, a nie – jak dotąd sądzono – Afroamerykanie są twórcami bluesa i jazzu. Sam tytuł filmu pochodzi od charakterystycznego sposobu grania akordów przez Linka Wraya, który dla wielu rockmenów stał się kamieniem milowym rozwoju tego gatunku. Otóż Wray był Indianinem z plemienia Szaunisów. Film uświadamia, że to

Indianie stworzyli amerykańską muzykę, poczynając od ojca bluesa z Deltą – Charleya Pattona, przez królową swingu Mildred Bailey, po legendy rocka: Jimiego Hendrixa i Jesse Ed Davisa, a także Taboo, członka popowego Black Eyed Peas.



Kadr z filmu z Catherine Bainbridge

O tym, że współcześni Indianie odzyskują świadomość swoich korzeni, a także uzasadnione przekonanie o swoim wpływie na kulturę muzyczną Ameryki, świadczą nie tylko wypowiedzi historyków muzyki, ale może przede wszystkim kobiety, które – ubrane w tradycyjne stroje – śpiewają stare pieśni i wykonują je na tradycyjnych instrumentach. Potrafią też rozpoznać indiański

śpiew na płycie Charleya Pattona i w muzyce współczesnych wykonawców. Pięknie mówią o źródłach tej muzyki, która czerpie z krajobrazu – szumu drzew, śpiewu ptaków...

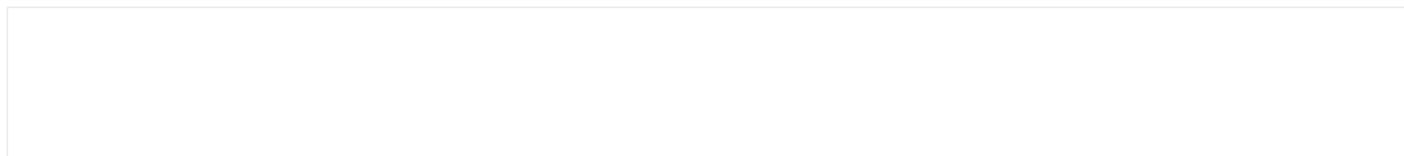
Poza urodą tej muzyki, film nie tylko zmienia obiegowe poglądy, jakoby korzenie bluesa tkwiły w folklorze przybyszów z Afryki. Ci zresztą przemieszczeni z ludnością rezerwatów, jak to było w przypadku ojca bluesa – Charlie Pattona. Budujące jest także ukryte przesłanie filmu, mówiące o tym, że kultura Indian nie tylko przetrwała, ale także dała początek i inspirację współczesnym gatunkom muzycznym. Nic nie umiera, rękopisy nie płoną...

Trailer filmu:

W Londynie zaczęło

się moje życie pisarza emigracyjnego

**Z poetką Anną Frajlich, laureatką nagrody Związku Pisarzy
Polskich na Obczyźnie za całokształt twórczości w 2016 r.,
rozmawia Katarzyna Bzowska.**





Anna Frajlich, fot. Krzysztof Dubiel

Katarzyna Bzowska:

Od ponad 40 lat mieszka Pani w Stanach Zjednoczonych, ale debiutowała Pani w Londynie w 1976 r. w Oficynie Stanisława Gliwy. Kilka tomików poezji ukazało się w londyńskiej Oficynie Poetów i Malarzy. Publikowała też Pani w „Wiadomościach”. Jak

doszło do tej współpracy przez ocean?

Anna Frajlich:

Debiutowałam w prasie w Polsce w 1958 roku i będąc jeszcze w liceum w Szczecinie dostałam w tym swoim mieście pierwszą nagrodę literacką. W Polsce publikowałam w różnych pismach niszowych. Tuż przed wyjazdem z Polski w 1969 roku złożyłam tomik w wydawnictwie, ale wyjechaliśmy, a że była to emigracja polityczna, to oczywiście książka nie mogła się ukazać.

Trauma wygnania pogłębiła moje doświadczenia pisarskie. Nawiązanie

kontaktu z „Wiadomościami”, najważniejszym wówczas pismem literackim

na emigracji, było naturalną rzeczą. To ustawiało autora w środowisku

emigracji polskiej na całym świecie. Jak doszło do tego? W sposób

najbardziej zadziwiający – wysłałam wiersze i dostałam niemal entuzjastyczną odpowiedź.

W świecie rządzonym kontaktami i znajomościami wydaje się to mało prawdopodobne, ale takie były „Wiadomości” i taka była Stefania Kossowska. Po kilku wierszach wydrukowanych w „Wiadomościach” miałam wiele

Jakie znaczenie ma dla Pani ta londyńska nagroda w porównaniu z tymi dwiema wymienionymi?

AF:

Londyńska nagroda ma dla mnie ogromne znaczenie, dlatego że jest londyńska właśnie, bo jest związana z miejscem, w którym – jak powiedziałam – zaczęło się moje życie pisarza emigracyjnego. W Londynie ukazała się moja pierwsza książka, w Londynie Stanisław Baliński ogłosił pierwszą recenzję. Byłam kilka razy w Londynie, gdzie miałam wieczory autorskie (w Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie także), spotkałam tam paru pisarzy emigracyjnych.

Cenię sobie nadzwyczaj fakt, że po dziesięcioleciach mój dorobek został doceniony właśnie tu. Nie wiem, czy porównywanie tych nagród jest możliwe. Jestem wdzięczna losowi i wszystkim trzem fundacjom za docenienie mej pracy na każdym z tych etapów. Dla pisarza na emigracji, który przeważnie funkcjonuje w oderwaniu od środowisk literackich każda taka nagroda jest oznaką, że jego głos dociera do ludzi, którym poezja jest potrzebna. Nagroda Kościelskich przeznaczona dla młodych pisarzy, bardzo ceniona do dziś dnia, była dla mnie ogromną podporą i zastrzykiem optymizmu. Niestety, nie stać mnie było wówczas na podróż do Szwajcarii, bo

podróż przekroczyłaby koszty samej nagrody. Ale dzięki tej nagrodzie mogłam wydać następną książkę, no i pozostaje ona na zawsze w moim życiorysie.

Nadzwyczaj cenię sobie nagrodę Fundacji im. Turzańskich. Ze środowiskiem w Toronto byłam i pozostaję w bliskich kontaktach, bywałam tam służbowo jako korespondent Wolnej Europy. W owym czasie robiłam wywiady z Wacławem Iwaniukiem i Bohdanem Czaykowskim. Jeździłam też z odczytami i spotkaniami autorskimi, byłam i jestem zaprzyjaźniona z pisarzami z Kanady ze starszej i młodszej generacji: Wacławem Iwaniukiem, Florianem Śmieją, Tamarą Trojanowską, Markiem Kusibą, Edwardem Zymanem. Miałam nawet zaszczyt spotkać samą panią Turzańską. Do dziś jestem im wdzięczna za uznanie i zaszczyt.

Nagroda londyńska za całokształt twórczości jest ukoronowaniem, świadczy też, że widocznie nie zawiodłam moich czytelników i instytucji, które wcześniej doceniły moje wysiłki. I jak zaznaczyłam, ma to dla mnie ogromne uczuciowe i symboliczne znaczenie.

KB:

Pisze Pani zarówno wiersze, jak również krótkie formy literackie prozą, jak choćby wydane w serii

„Piętnastka” tomik opowiadań „Laboratorium”, no i jest Pani autorką esejów literackich. Która z tych form twórczości jest pani najbliższa? Co - jako twórcy - przychodzi Pani najtrudniej?

AF: Wiersze zaczęłam pisać już w dzieciństwie i już we wczesnej młodości zaczęłam je publikować. Wiersze są dane.

Jak zwykł mówić Miłosz, dyktuje je Dajmonion. Jak wspomniałam już wcześniej, trauma wygnania niewątpliwie pogłębiła moją percepcję rzeczywistości, co wpłynęło i na poezję. Natomiast proza, artykuły i eseje wymagają nie tylko inspiracji, zdolności, ale i wiedzy, badań oraz samokontroli. Niemniej jednak te sprawy wiążą się ze sobą.

Do pisania prac naukowych czy nawet esejów konieczny jest czas, którego pisarz na emigracji ma niewiele, bo musi najczęściej w innym zawodzie zarabiać na życie. Ale ponieważ i zawodowo jestem literaturoznawcą, więc staram się wypowiadać na różne sposoby. Czasem lektury potrzebne do prac naukowych mogą stać się inspiracją do wiersza. Ale wiersze zdecydowanie przychodzą same. Nigdy w życiu nie siadałam do biurka z decyzją, że dziś muszę napisać wiersz. Przeciwnie, kiedy wiersz przychodził, często szukałam nerwowo

kawałka papieru i czegoś do pisania.

Co przychodzi najtrudniej? – trudno jest odpowiedzieć na to pytanie, do pisania artykułu można się zmusić, do pisania wiersza – chyba nie.



Wręczenie nagrody Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.
Anna Frajlich i prezes Związku Andrzej Krzeczunowicz.

KB:

Współpracuje Pani z pismami literackimi wydawanymi w Polsce.
Jak ocenia Pani polskie pisma literackie,

których z roku na rok jest coraz mniej? Czym różnią się one od podobnych pism amerykańskich? Czy mają one przyszłość w konkurencji z internetem, gdzie znacznie łatwiej i szybciej można zamieścić polemiki, krytyki i własną twórczość? Podobno współczesny pisarz „musi” mieć swój blog, bo inaczej się nie liczy. Czy Pani także zamieszcza swoje utwory w internecie?

AF: Z pismami wydawanymi w Polsce współpracuję od ponad dwudziestu lat; jestem na listach stałych współpracowników lubelskiego „Akcentu”, szczecińskiego „eleWatora”, a przedtem szczecińskich „Pograniczy”, współpracuję też z kwartalnikiem „Migotania” i „Kontekstami Kultury”, od czasu do czasu zamieszczam wiersze lub inne teksty w „Kwartalniku Artystycznym”.

Sytuacja polskich pism literackich jest podobna do pism amerykańskich w tym sensie, że są to w większości pisma niszowe, z małym poparciem finansowym. W Stanach, jak i obecnie w Polsce istnieje decentralizacja. Ale jak i w Polsce, tak i w Stanach te pisma otrzymują jakąś pomoc, powstają często przy uniwersytetach. Są to pisma istniejące z potrzeby zarówno czytających jak i piszących. Każde z nich wnosi bardzo wiele do wiedzy o kulturze, wzbogaca nas wszystkich. Kiedy dostaję takie pismo,

czytam z wielkim zainteresowaniem i wiele się uczę. Mam nadzieję, że się utrzymają, co nie znaczy, że będą w stanie utrzymać autorów. Autorzy, jak w każdym kraju wolnego rynku, muszą się jakoś sami utrzymać.

Z pism amerykańskich prenumeruję i czytam w miarę możliwości czasowych kilka najbardziej znanych, głównie z dziedziny kultury polskiej (na przykład „The Polish Review”) i slawistyki.

Naturalnie, że istnieje zagrożenie ze strony internetu. Boją się tej konkurencji największe dzienniki i tygodniki. Mam nadzieję, że przetrwa pismo drukowane. Współczesne tablety przypominają mi trochę starożytne tabliczki woskowe. Internet jest szybszy, ale jest tam za dużo szumu informacyjnego, za mało głębi. Blogu nie prowadzę jak dotychczas. Sama nie zamieszczam w pismach internetowych, ale jak ktoś zwraca się do mnie z prośbą o zamieszczenie mojego wiersza, nie odmiawiam. Znajduję tam czasem swoje wiersze pięknie ilustrowane, nawet nie wiem, skąd się tam wzięły i wdzięczna jestem tym, którzy je zamieścili.

KB:

Od wielu lat jest Pani wykładowcą uniwersyteckim. Czy amerykańska młodzież interesuje się poezją,

literaturą, a bardziej szczegółowo – czy cokolwiek wie o polskiej poezji i literaturze?

AF: Trudno mi mówić o amerykańskiej młodzieży jako takiej. Ja uczę na jednym z najlepszych uniwersytetów i mam do czynienia z młodzieżą, która się interesuje literaturą. Innych nie spotykam, bo do mnie nie przychodzą. Ale widzę, że mój wnuk, który jest jeszcze na poziomie gimnazjum, czyta bardzo poważne lektury, uczą go analizować, porównywać. Wszyscy studenci na Columbia University muszą, niezależnie od kierunku, zaliczyć literaturę antyczną i współczesną.

Uczę języka i literatury. Na lektoraty z języka polskiego zapisują się studenci, którzy chcą dla jakiś celów zaliczyć ten język, albo jako wymagany język obcy, albo dlatego, że specjalizują się w historii Polski czy Wschodniej Europy, w historii Żydów, lub chcą studiować polską literaturę. Muszę powiedzieć, że większość moich studentów przeszła wszelkie moje oczekiwania, wielu z nich jest obecnie profesorami, czy też specjalistami w różnych dziedzinach. Nawet jeżeli nic nie wiedzieli przedtem o polskiej literaturze, do lektur wnoszą swoją wiedzę z innych dziedzin. Potrafią w analizowanym tekście odnaleźć takie elementy, o których nawet polonistom się nie śniło i to zarówno w poezji Mickiewicza, prozie Norwida, jak i w powieściach okresu międzywojennego

czy post-zależnościowego.

Nie mówię, że przedstawiam tu obraz całej młodzieży amerykańskiej, ale praca ze studentami, z którymi się zetknęłam w ciągu ponad trzydziestu lat na Columbii, dała mi wiele satysfakcji i wiele mnie nauczyła. Przede wszystkim, że należy wystrzegać się stereotypów w ocenie jakiegokolwiek grupy.

„Tydzień Polski”, Londyn, 14 marca 2016 r.

Od redakcji: W maju 2017 roku Anna Frajlich została wyróżniona statuetką „Wybitnego Polaka w USA”. Uroczystość wręczenia statuetki miała miejsce w Konsulacie Rzeczypospolitej Polskiej w Nowym Jorku.

<http://www.dziennik.com/wiadomosci/arttykul/znamy--tegorocznych-wybitnych-polakow-w-usa>

<http://poland.us/strona,20,26939,0,ny-wyroznienia-w--konkursie-wybitny-polak-w-usa-zostaly-przyznane.html>

http://www.nowyjork.msz.gov.pl/en/news/celebration_of_the_

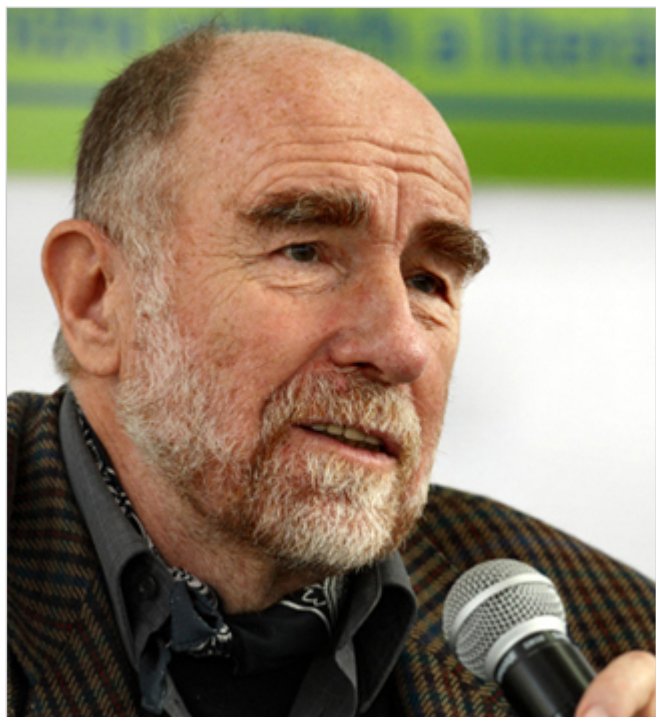
constitution_day_at_the_consulate_general_of_the_-
republic_of_poland_in_new_york

„Siedem rozdziałów
z życia Václava
Netušila” Ivana
Binara: Podróż
przez komunistyczne

inferno

Barbara Lekarczyk-Cisek

„Siedem rozdziałów z życia Václava Netušila albo rowerem dookoła świata” Ivana Binara jest fascynującą, szkatułkową opowieścią o tym, jak komunistyczny totalitaryzm głęboko niszczył ludzi oraz łączące ich więzi.



Ivan Binar, fot. wikipedia

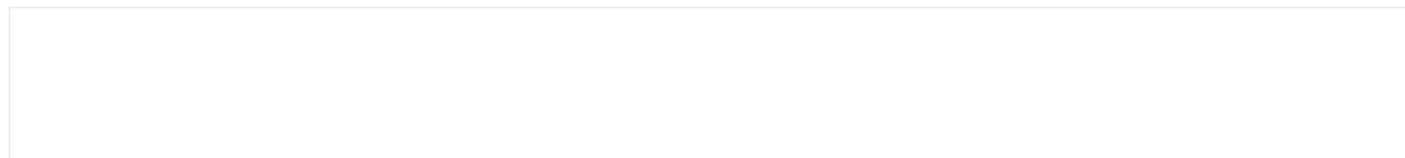
Niech nikogo nie zwiedzie mający pozytywne konotacje tytuł

powieści czeskiego pisarza Ivana Binara. Jego nawiązania do powieści przygodowej mają ukryte dno – są ironiczne: to raczej podróż przez piekło, choć nie opatrzono jej mottem z Dantego, ale cytatem z „Przygód dobrego wojaka Szwejka” Jaroslava Haška. Tym nie mniej jest to podróż fascynująca. Zmieniają się jej przewodnicy, a każdy z nich próbuje opisać świat pełen grozy i absurdu. Ale cóż to są za narratorzy! Jaka wyobraźnia! Blisko 400-stronicowa powieść Ivana Binara trzyma w napięciu od pierwszych scen po ostatnie.

Początek i koniec Wieńczysława Pawia – poety i podróżnika

Autorem wstępu i zakończenia powieści (pisanym kursywą dla odróżnienia od pozostałych narratorów) jest Wieńczysław Paw – poeta i podróżnik, jak zwykł się przedstawiać. Podróżnikiem zostaje się po przejściu przez... szafkę na narzędzia w elektrowni Zwycięski Luty, podobnie jak Alicja przechodziła przez taflę lustra. Z lustrem się nie udało, z szafką tak. Z przygód Pawia po drugiej stronie szafki powstała opowieść poprzetykana jego wierszami, która po śmierci przyjaciela została wysłana (wraz z szafką) przyjacielowi, który przebywał wówczas na emigracji w Wiedniu. W ten sposób Wieńczysław Paw stał się naszym

przewodnikiem po „drugiej stronie świata”, którą rządzi absurd. Co odkrył? O tym można się dowiedzieć z siedmiu rozdziałów powieści.



Walka Václava Netušila o nieżycie

Pierwszy spośród nich jest opowieścią o człowieku, który za nic nie chciał przyjść na świat, jakby wiedział, że nic dobrego go na nim nie spotka. Sama scena narodzin jest przedstawiona z iście czeskim humorem. Otóż jest zima, na zimnej kuchni siedzi ojciec mającego narodzić się bohatera, toteż nie można rozpalić ognia. Prośby służącej puszcza mimo uszu i już trzeci dzień siedzi tak z kotką Čičą (która odegra w powieści istotną rolę) i gra na oboju prostą melodię. Będzie ją grał także później, kiedy narodzony już syn i żona będą go raz do roku odwiedzać w zakładzie psychiatrycznym. Jego choroba jest raczej ucieczką do innego, spokojnego świata, w którym wszystko jest przewidywalne.

Ale wracając do sceny porodu, jest ona iście dantejska. „Nieurodek”, jak go określa narrator, protestuje i walczy, szarpiąc się tak skutecznie, że doktora odrzuca daleko. Z sypialni, gdzie rozgrywa się akcja porodowa, poprzez obszerną sień, wpada do kuchni, otwierając w ten sposób drogę

Pastuchom, złym duchom (tekst melodii) do łona rodzącej oraz do nienarodzonych jeszcze uszu Václava Netušíla, który zdecydowanie opierał się naciskom.

Ale ponieważ walka otumania i czyni z istoty rozumnej nieomal szaleńca, doktor nie daje za wygraną i nie przyjmuje argumentów malca przeciw narodzinom, które w innych okolicznościach może by do niego dotarły. I mimo że Václav bił się o nieżycie – o prawo do nieistnienia, przegrał z kretesem i wydał ostatecznie „pełen bólu krzyk człowieka skazanego na życie”, zagłuszając nim nawet monotonne dźwięki oboju.

Dlaczego narrator zdecydował się uczynić go bohaterem swojej opowieści? Otóż dlatego, że – jak mówi wprost – „stał mu się bliski w nieprzychylnych czasach, ponieważ był światełkiem w mroku”... Václav Netušil to inna twarz Wieńczysława Pawia oraz – jak się okaże na końcu powieści... Nie, nie zdradzę zakończenia!

Wędrówki rowerem dookoła świata



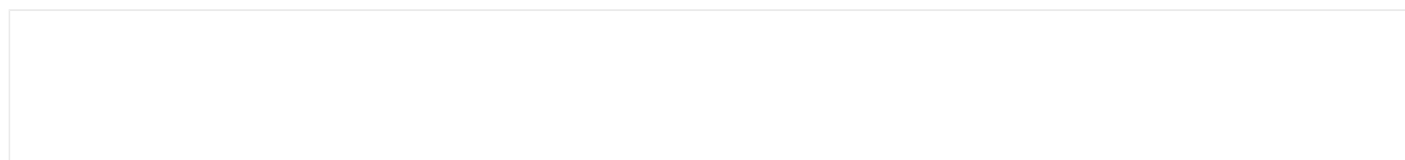
Powieść Binara ma szkatułkową strukturę, w obrębie której znajdziemy opowieści kilku narratorów, w tym historię samego pisarza, ale najciekawsze są fragmenty rękopisu Pawia. Choć narratorzy mają różne doświadczenia życiowe, opowiadają różnymi (w sensie stylistycznym) językami, to łączy ich jedno: próbują opisać opresyjny, komunistyczny świat, którego *de facto* opisać się nie da, tak jest absurdalny. Chłopczyk „z dobrej rodziny”, w marynarskim ubranku, dorastający w dostatku, choć bez ojca, musiał jakoś sobie poradzić w świecie, w którym można było „za nic” znaleźć się w więzieniu, gdzie poddawano delikwentów psychologicznej i fizycznej „obróbce”, zaś na wolności alternatywą było wojsko, a następnie praca w kopalni. Studia – tylko w przypadku odpracowania „na dole” kilku lat, a w praktyce – gdy podpisało się zgodę na współpracę z tajnymi służbami. A jednak niektórzy akceptowali ten stan rzeczy i próbowali się dostosować i „urządzić”. Na Nowej Fajdlandii (nazwa znacząca) ludzie mieszkają w okropnych warunkach, w malutkich mieszkaniach. Mężczyźni są impotentami i siedzą całymi dniami w kuchni jedząc różne wzdymające pokarmy. Ubrani w tzw. pierdzistry, „produkują” gaz i dostarczają go do wiatrowni, a ta przerabia go na energię elektryczną. Wieńczysław Paw – podróżnik i badacz obcych kultur postanawia opisać także i to ciekawe doświadczenie. Dodajmy, że na Nowej Fajdlandii panuje system totalitarny. Obywateli pilnują urzędnicy Głównego Urzędu Wewnętrznej Naprawy, zwanego w skrócie GUWNO.

Václava Netušila żywot podwójny

Kiedy Václav Netušil nie jest Wieńczysławem Pawiem, dopada go rzeczywistość o wiele gorsza, niż przygody na obcej ziemi, choćby była nią Fajdlandia. Więziony, nakłaniany do współpracy, gwałcony i zamykany w karcerze, w końcu godzi się na współpracę i pisze taki oto autodonos:

Osadzony Netušil Václav, numer 08157 5288, prowadzi przygotowania do ucieczki z więzienia. W tak zwanym czasie wolnym prowadzi rozmowy z gołębiami zamieszkującymi dachy zakładu karnego na Borach, będącymi własnością socjalistycznego państwa i namawia je do współudziału w czynie przestępczym, tj. opuszczenia wraz nim miejsca odbywania przezeń kary. (...) O swoich planach opowiedział oswojonej myszy Krystynie, zamieszkującej warsztat, z którą utrzymuje kontakty, wbrew postanowieniom regulaminu. Wspomnianej Krystynie obiecał, że zabierze ją ze sobą, jeżeli ta nauczy się służyć, czyli siedzieć na tylnych łapkach, machając przednimi.

Przytoczyłam ten obszerny fragment nie tylko po to, aby przyszły czytelnik powieści mógł uchwycić ten rodzaj humoru, który jest charakterystyczny dla całej tej powieści. Chodzi o coś więcej: absurdu nie da się opisać inaczej, jak właśnie językiem absurdu, nie ma w nim bowiem żadnej ludzkiej logiki. Nieludzki świat rządzi się swoimi prawami, których pojąć nie sposób. Niekiedy brakuje jednak słów, aby go opisać i w takiej sytuacji autor tworzy nowe słowa, jak choćby wspomniany już „pierzistry” (połączenie kanistrów z pierdzeniem) czy „pszczowa” (kontaminacja pszczoły i krowy). Tym większe uznanie należy się tłumaczce tej niełatwej prozy, Dorocie Dobrew, która stworzyła w języku polskim stosowne odpowiedniki.



Śmierć bohatera

Śmierć Wieńczysława Pawia vel Václava Netušila jest czymś, co musi nastąpić. Na koniec przyznaje, że jego wędrówka była ucieczką przed tzw. rzeczywistością i przed sobą. Nie żałuje życia – nareszcie zazna spokoju. Ale pomimo to – już pod postacią pięknego motyla: rusałki żałobnika – nadal poszukuje odpowiedzi na dręczące go pytania. Chce je zadać swojemu „osobistemu upiorowi” – oficerowi SB:

Co dobrego mogło wyniknąć z łamania ludziom charakterów, z manipulowania nimi, z prześladowania ich i niszczenia? Jaki sens miało krzywdzenie bliźnich, na co się to komu zdało?

Zamiast odpowiedzi spada na motyla miażdżąca łapa przedstawiciela tajnych służb i dusza nieszczęśnika rusza w dalszą drogę przy dźwiękach znanej od dnia narodzin melodii: „Pastuchy, złe duchy, wyście naszą wykę, wyście naszą grykę wypaśli...”.

Powieść Ivana Binara „Siedem rozdziałów z życia Václava Netušila albo rowerem dookoła świata” jest fascynującą, szkatułkową opowieścią o tym, jak komunistyczny totalitaryzm głęboko niszczył ludzi oraz łączące ich więzi. Próba opisu tego absurdalnego świata, poprzez różne narracje, pozwala wnikać w mechanizmy nim rządzące i zrozumieć ogrom krzywd, które wyrządzono zupełnie niewinnym ludziom, nigdy im niczego nie rekompensując ani nawet nie ujawniając całej prawdy.

Czekałem na to – pisze z goryczą autor, który poznał wprawdzie listę donosicieli, ale też odkrył, że wiele dokumentów „zaginęło” – aż nowi, prawdziwi przedstawiciele narodu, wybrani w wolnych wyborach,

odkryją prawdę, bo **bez prawdy nie istnieje sprawiedliwe, demokratyczne społeczeństwo**. Winnych trzeba wymienić z nazwiska, dopiero potem można odpuszczać winy.

Powieść Ivana Binara: „Siedem rozdziałów z życia Václava Netušila albo rowerem dookoła świata” ukazała się w Wydawnictwie Amaltea, w przekładzie Doroty Dobrew.



Ivan Binar

Urodzony w 1942 w Boskovicach. Ukończył filologię czeską, historię oraz wychowanie plastyczne w Instytucie Pedagogiki w Ostrawie. Pracował jako nauczyciel, redaktor naczelny czasopisma Tramp i współpracował z teatrem. W latach 1971-1973 był więziony za podżeganie do buntu. W 1977 roku wyemigrował do Wiednia, gdzie utrzymywał się pracując jako tłumacz i konserwator ceramiki. Po sześciu latach przeniósł się do Monachium, gdzie pracował w redakcji Wolnej Europy. W 1994 roku wrócił do Pragi. Jest autorem czternastu książek. Pisze książki dla dzieci (ostatnio „Królik Fiala“, 2012) oraz dla dorosłych („Tylko smuga na niebie“, 2013).

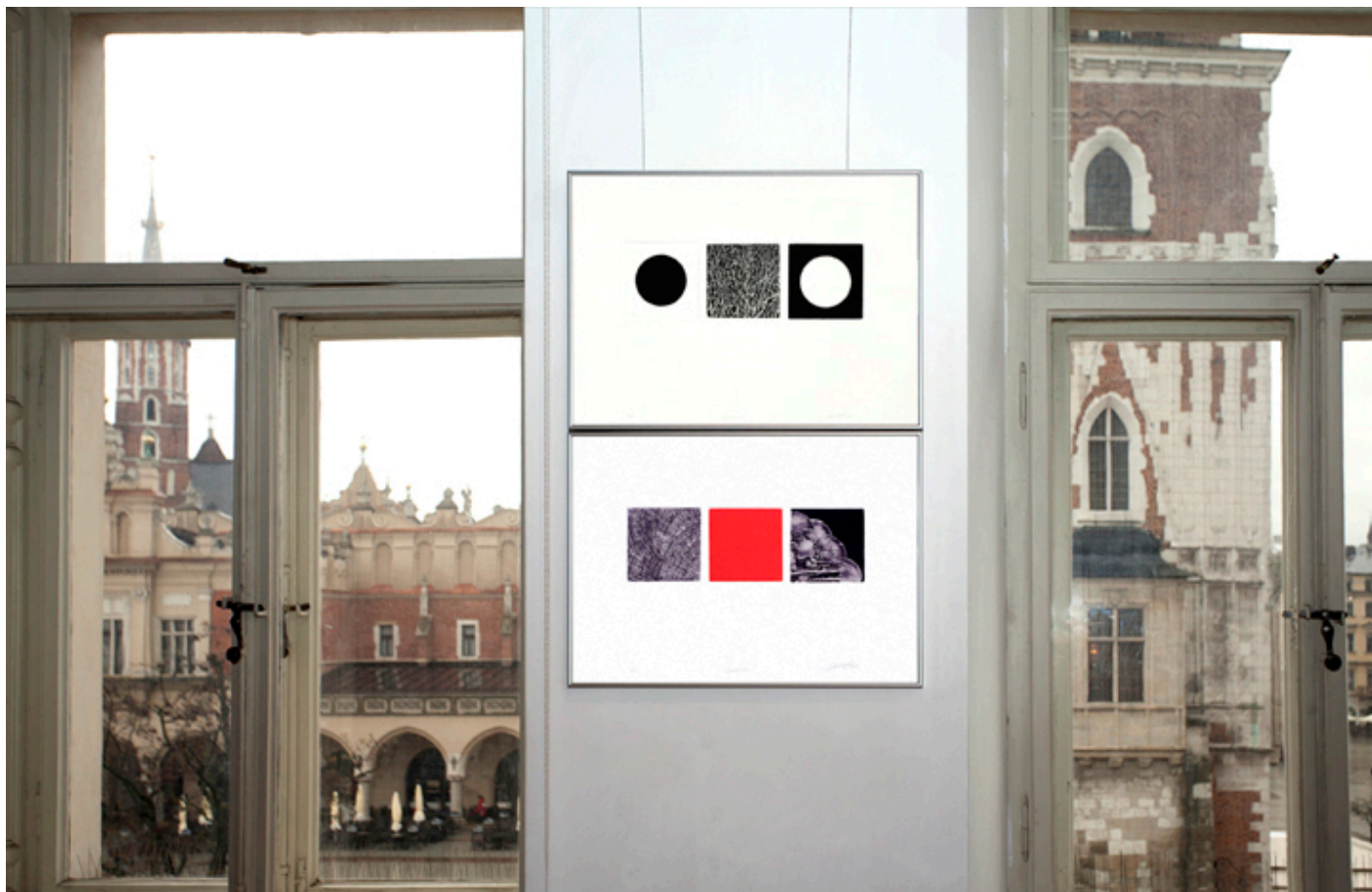
www.kukatko.pl

Kod natury – wystawa

Leszka

Wyczółkowskiego

w Krakowie



Międzynarodowe Centrum Sztuk Graficznych

Rynek Główny 29, Kraków

10.05.2017 - 30.05.2017

Leszek Wyczółkowski urodził się w Zielonce, koło Warszawy. Od wczesnych lat wykazywał zainteresowania literaturą i sztukami plastycznymi. W tych ostatnich pomagał mu jego ojciec, Witold Wyczółkowski (1921 - 2012) - znany artysta plastyk i ilustrator - wprowadzając syna w arkana sztuki i ucząc go plastycznego abecadła. Artysta w autokomentarzu do swojej wystawy pisze:



Moja sztuka to równowaga dwóch światów. Pierwszy z nich to świat intelektu, geometrii i porządku spojony solidnym rzemiosłem. Ten drugi świat jest miękki, organiczny, pełen uczuć i instynktów. Połączenie tych dwóch światów stanowi fundament mojej sztuki, której efekt końcowy jest punktem wyjścia uruchamiającym wyobraźnię odbiorcy.

W moich pracach przenikają się wzajemnie elementy natury, to co organiczne i kosmiczne ze spojrzeniem na życie w

Chcę, aby moje prace służyły kontemplacji, która jest niezbędna w procesie odkrywania przez jednostkę własnego ja i jej związku ze światem. Chcę podtrzymywać dialog z odbiorcą. Nigdy nie daję odpowiedzi; niech reakcja zależy od oglądającego.

Prof. Mariusz Iliak

Prof. Stanisław Biał

Master scanner: SM70

KÄRCHERStudent's *t*-difference

Carole Wynn-Randall



I want my work to serve the congregation, which is as necessary to a parish, in order to discover one's own self and one's own life with the world. One is not to maintain a distance with the viewer. One must let go, however, that the viewer should not feel seen. It

Learn More About Us





Leszek Wyczółkowski podczas wernisażu w Krakowie, fot. Tomasz Korczyński.



Leszek Wyczółkowski podczas wernisażu w Krakowie, fot. Tomasz Korczyński.



Leszek Wyczółkowski podczas wernisażu w Krakowie, fot. Tomasz Korczyński.



Wernisaż Leszka Wyczółkowskiego w Krakowie, fot. Tomasz Korczyński.



Wernisaż Leszka Wyczółkowskiego w Krakowie, fot. Tomasz Korczyński.



Wernisaż Leszka Wyczółkowskiego w Krakowie, fot. Tomasz Korczyński.



Wernisaż Leszka Wyczółkowskiego w Krakowie, fot. Tomasz Korczyński.



Leszek Wyczółkowski podczas wernisażu w Krakowie.



Leszek Wyczółkowski podczas wernisażu w Krakowie.



Leszek Wyczółkowski podczas wernisażu w Krakowie.

Pamiętka po księdzu Janie



Ksiądz Jan Twardowski (1915-2006), Warszawa. 19.11.2001 r.,
fot. PAP/Andrzej Rybczynski.

Florian Śmieja

Ks. Jan Twardowski należy do tych poetów, których każde wydawnictwo opublikuje z przyjemnością i korzyścią. Jest lubiany, a książki jego znajdują chętnych klientów. Obok noblistów i ocierających się o nich Herberta i Różewicza, postać drobnego księdza musi zastanawiać. Nie posiada on wieszczego głosu, ani nie propaguje modnej filozofii, nie epatuje też chwytliwą formą. Łapie na wypróbowany, staroświecki lep: najzwyklejsze słowa człowieka i podbija najszersze kręgi czytelników.

W Warszawie chodziłem do sióstr wizytek na jego wczesne msze, raczej na kazania dla dzieci, takie śmieszne, proste i krótkie. A może to już było pod koniec jego posługi? Nie wiem. W wierszu napisałem, że trzyminutowe. Może przesadziłem. Ale były niepowtarzalne.

Dlatego z radością niosłem księdzu Janowi książkę przyjaciela, profesora Jerzego Pietrkiewicza z Londynu, prezent, którego nie zdołał sam przekazać. Po nabożeństwie poszedłem do ogródka za kościołem, odczekałem swoją kolejkę, bo byli inni petenci i wszedłem po schodach do pokoju na pierwszym piętrze domku.

Odebrawszy prezent ksiądz Jan sięgnął po małą, zieloną książeczkę. Wpisał na stronie tytułowej "I.I. Florianowi Śmieji najserdeczniej" i podpisał się dając datę. Była to skromna publikacja "Niecodziennik", zbiór anegdot i uciesznych dykteryjek, z których zacytuję ostatnią:

Jestem bardzo wdzięczny tym, którzy pisali recenzje i artykuły o moich wierszach. Stale się od nich uczę. Zdarzało się jednak, że omawiając moje wiersze pisano o dialektyce, antynomiach, Pascalu, Heraklicie, Heglu, koegzystujących realiach. Przeraziłem się.

Otworzyłem tom moich wierszy i natrafiłem na takie teksty:

“polna myszka siedzi sobie, konfesjonał zębkiem skrobie”,
“kto bibułę buchnie, temu łapa spuchnie”, “siostra
Konsolata, bo kasa i lata”, “rysowałem diabła bez rogów, bo
samiczka” – i uspokoiłem się.

Obiecaliśmy sobie modlić się za siebie, a niepokąźny
“Niecodziennik” stanął dumnie obok pięknych tomów wierszy
poczytnego poety, który posiadał rzadki dar prostoty.

Florian Śmieja

POCIECHA

To bardzo pocieszające

że mimo promocji bełkotu

układów i mistyfikacji

wbrew kumoterskiej krytyce

górują nadal czyste głosy

Herberta, Miłosza i Twardowskiego

że ze złomowiska instalacji

spod ezoterii i kuglarstwa

snobizmu i patologii

wydobywamy wciąż jeszcze

pożywny chleb poezji.

KSIĄDZ JAN

Dla M.P.

Już pochylony co niedzielę

wyłasza u sióstr wizytek

poetyckie homilie

dla niewiniątek w każdym wieku.

Bezkonkurencyjnie

wpisał się do księgi Guinnessa

za najkrótsze kazania

a jeszcze pewniej

w serca swoich słuchaczy

bezzadnie wyciągających szyje

by niczego nie uronić

z jego mądrych szeptów

lecz rozumiejących bezwiednie

że dobroć słów nie potrzebuje.

Miłość po szkocku. Marsz kombatantów.

Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecinnych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodzieńczych marzeń jest jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący na kontrtorpedowcu „Błyskawica”. Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniała o Janie i jego polskości. Mary jest postacią autentyczną.



fot. Shutterstock

Anna Habryn

Rozdział 7

– Mandy, wróciłam. Przyjdziecie z Peterem na obiad w sobotę? Opowiem wam o Polsce. Tak, byłam w Polsce! Oczywiście, że sama. I nic mi się nie stało. Było cudownie.... Widziałaś może Jana? Jak to, mój brat ci nie pozwolił? Nikt nie może się z Janem

widywać?! Ależ, coś z tym trzeba zrobić!

Usłyszała w odpowiedzi:

- Mamo, daj spokój. To beznadziejne.

Mary ścisnęła w ręce aparat fotograficzny i trzęsła się z emocji. Wsiadła z samochodu i ruszyła niezbyt szybko w stronę domu. Nie wyróżniał się niczym specjalnym. Żywego ducha dookoła. Weszła na ganek. Zadzwoiła. Cisza. Zapukała. Nikogo. Zajrzała przez szybę do środka. Pustka, ciemność. A przecież tam był, Jan musiał tam być. Christine mówiła jej, że Jan nie rusza się z pokoju. Chodzi tylko po domu, a i to z trudem.

- Janie! - krzyknęła. Nikt nie odpowiedział. - Janie, byłam w Poznaniu, u Seweryny! Mam dla ciebie prezenty!

Cisza. Mary poczuła, że płacze. Z bezsilności, z żalu. Nie mogła z nim porozmawiać, a jej listy wracały do niej nie otwarte. To już pół roku, jak Charles zabrał Jana do siebie. Odebrał go jej. Był jego prawnym opiekunem - nic nie mogła zrobić.

Christine, albo któraś z jej koleżanek z *Silver Chain* odwiedzała Jana co drugi dzień. Mówiła, że Charlesa nigdy nie ma w domu, a Jana nikt poza nimi nie widuje.

- Janie! - zawołała jeszcze raz. Nic. Wiedziała, że tam jest. Siedzi sam, w półmroku. A może patrzy na nią z głębi pokoju. Boi się!?

Zawróciła, płacząc z rozczarowania. (...)

Medale przysłano z Londynu na adres Mary. Zabrała je do sklepu z militariami i zamówiła specjalną, elegancką kasetkę, oszkloną, do przechowywania i eksponowania odznaczeń. Była śliczna i droga, ale cóż z jej trudów, skoro nie mogła przekazać medali Janowi. Nie miała wstępu do domu jego opiekuna. Kogo prosić o pomoc?

Zwróciła się do Georga. Powiedział jej:

- Nie wiem, czy to coś pomoże, ale jest tu Związek Kombatantów. Zadzwoń do ich prezesa, tu masz jego telefon.

Kiedyś George opowiadał jej o swoich skomplikowanych losach. Był więziony w rosyjskim łagrze, jego żona i dzieci zmarły z głodu. Na Syberii nie było co jeść. Wy tłumaczył jej, że podczas ciężkiego oblężenia Leningradu przez Niemców, Rosja zgodziła się utworzyć polskie wojsko z uwięzionych przez nią polskich żołnierzy, pod warunkiem, że będą się oni bić z Niemcami. George wyszedł ze Związku Radzieckiego razem z armią generała Andersa i potem walczył w Anglii jako pilot myśliwca. Brał udział w bitwach powietrznych. Przeżył wojnę i przyjechał z

transportem byłych żołnierzy z Anglii do Perth. Ożenił się tutaj, jego żona była piękną kobietą. Żyli dostatnio, George uczył na uniwersytecie, bo to był przecież jego przedwojenny zawód... Mary oglądała kiedyś jego medale za zasługi wojenne.

- Nie należysz do kombatantów? - zapytała teraz zdziwiona.

- Należę. Formalnie należę - powiedział i uśmiechnął się. - Ale to dla mnie nie najważniejsze w życiu. I lepiej, żebyś się z prezesem skontaktowała sama.

- Nie najważniejsze? - Zastanowiła się sekundę i zdecydowała drążyć temat do końca. Może dowie się wreszcie prawdy o tym, co czuje prawdziwy bohater, bo przecież kto jak kto, ale George był bohaterem.

- Co jest w życiu najważniejsze?

Podniósł brwi w górę.

- No, czym naprawdę się szczycisz, z czego jesteś najbardziej dumny, George?

Myślał chwilę, a potem powiedział:

- Nigdy w życiu nie jadłem darowanego chleba.

I nie wyjaśnił jej nic więcej.

Wieczorem zadzwoniła do Prezesa Koła Kombatantów. Zaprosił ją do udziału w zbliżającej się paradzie z okazji *Anzac Day*, w imieniu Jana.

- Ale to są brytyjskie medale, nie polskie...

- Nie szkodzi. W ten sposób pomoże pani zaakcentować udział Polaków w II Wojnie Światowej i ich zasługi dla ostatecznego zwycięstwa Aliantów - powiedział.

Zastanowiła się chwilę, a potem stwierdziła radośnie:

- Ma pan rację. Mój ojczym jest chyba jedynym żyjącym jeszcze w Australii polskim marynarzem. A kto wie, czy nie jedynym z tych, co podczas wojny pływali na *Błyskawicy*.

- No, widzi pani. Warto pokazać jego medale.



Jan Rogacki (właściwie
Władysław Kolecki)

Anzac Day przypada 25 kwietnia. Mary miała nadzieję, że starczy jej sił na kilkukilometrowy marsz. Ale przecież, skoro będą tam szli z nią ludzie 75-80-letni, to i ona wytrzyma. Podobała jej się myśl, że będzie reprezentować Jana w marszu ku czci Wolności.

Stawili się na miejsce wcześniej. Pogoda była, jak zawsze wczesną jesienią, piękna. Mary ubrała się w granatowy kostium, jedyny w jej garderobie, który nieco przypominać mógł mundur. Tony pomógł jej przypiąć medale na właściwym miejscu. Przydałby się beret, ale tak, pójdzie z gołą głową.

Mary czuła się niepewnie, kiedy szukała w tłumie polskiej grupy.

Stali pod biało-czerwonym sztandarem, chyba ze dwadzieścia osób. "To i tak cud, że jest ich ciągle tylu", pomyślała. Sami mężczyźni. Znalazła prezesa, z którym rozmawiała przez telefon. Był to niewysoki, ale przystojny siwy pan z orlim nosem. Przedstawił ją wszystkim. Czuła się jak królowa, kiedy każdy z nich po kolei całował ją w rękę pochylając się nisko. Starzy, dumni mężczyźni. A potem, kiedy stała tak razem z nimi, poczuła się, jakby popełniła nadużycie. Bo co ona sama zrobiła dla pokoju na świecie? Nic. Tyle, że korzysta z niego, jest częścią tego świata, który oni stworzyli, ci dzielni ludzie dookoła. Rozmawiali z nią przyjaźnie, opowiadali o sobie, pytali o jej ojca czyli o Jana. Któryś powiedział:

- Gdybym nie słyszał, jak pani mówi, pomyślałbym, że jest pani Polką.

Uznała to za największy komplement. Wygląda jak jedna z nich, jakby była na swoim miejscu.

Tłum ruszył, najpierw powoli, a potem już marszowym krokiem. Mary nigdy przedtem nie maszerowała po wojskowemu. To nie było wcale takie proste. Mężczyzna idący przed nią wydawał się tańczyć, tańczyły jego dłonie i Mary tak się zapatrzyła, że zgubiła krok. Ktoś z tyłu podał rytm: "Lewa, lewa..." Spłoszona, wyrównała szybko.

Popatrzyła w twarze tych idących obok: uśmiechali się jak ludzie szczęśliwi.

- Była pani w Warszawie? - zapytał jeden z lewej strony. Potwierdziła.

- A ja, widzi pani, nie byłem. Po wojnie nie byłem w Polsce. Jak tam jest?

Zaczęła mu pokrótce opowiadać i zanim marsz się skończył, czuła, że jest jedną z nich, zaakceptowana, swoja, cenna.

Stojąca gdzieś z boku orkiestra kobziarzy przypomniała jej, że jest Szkotką. Dumna, wyprostowała się jeszcze bardziej. Zobaczyła Tony`ego na chodniku, z jego kamerą, ale nie pomachała mu. Starła się utrzymać równy krok. Uśmiechnęła się tylko.

- W prawo patrz! - zakomenderował dowódca tego małego oddziału, którego była częścią. Zwróciła głowę w prawo i posłała uśmiech Gubernatorowi i Premierowi.

A w kilka minut później było już po wszystkim. Uścisnęła znów wszystkie dłonie powtarzając po polsku: "Dziękuję, dziękuję". Mówili jej, że im było miło, a ona im, że to dla niej zaszczyt.

Po paradzie zapakowała medale razem z kasetką w paczkę i wysłała przez pocztę, przesyłką poleconą, do odebrania przez pana Jana Rogackiego, do rąk własnych.

Charlie usiłował przekonać listonosza:

- Tu nie mieszka żaden pan Rogacki. Ten pan nazywa się Wilson!

Ale Jan w końcu podpisał dowód odbioru przesyłki swoim prawdziwym nazwiskiem.

Zobaczyła Jana dopiero w dwa dni po tym, jak przywieziono go ze szpitala, gdzie był operowany, do domu starców o nazwie "Złota jesień". Tu odtąd miał mieszkać.

Oczywiście, zawiadomiła ją Christine, nie Charlie.

- Złamał biodro - powiedziała.

- Jak?

- Pewnie upadł. Mnie przy tym nie było.



Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki) w domu opieki, na uroczystości wręczenia medali. Mary stoi za Janem.

Jan siedział przywiązany do krzesła, odurzony środkami przeciwbólowymi. Siwy starzec, wychudły, z długimi włosami, z paznokciami zawijającymi się jak szpony, nie przypominał tego człowieka, którego widziała kilka miesięcy wcześniej chodzącego po ogrodzie, który czytał książki i przełączał kanały telewizyjne w poszukiwaniu jakiegoś filmu.

Powiedziała do Tony`ego:

- Widzisz? Sprzedał jego dom i miał się nim opiekować. On nie potrafi się opiekować nikim, nawet sobą!

Obudziła się jak zwykle nad ranem, jeszcze nim ptaki zaczęły śpiewać – i leżała cicho w ciemności.

Wczoraj spędziłam z Janem cały dzień. Dlaczego on musi tak cierpieć? On godzi się pokornie ze wszystkim. Ale przecież nie powinien się znajdować w tym strasznym miejscu.

Charlie wybrał ten dom starców tylko dlatego, że jest ode mnie bardzo daleko. Myślał, że nie będzie mi się chciało jeździć do Jana. Ale bardzo się pomylił. Nie zna mnie. Biedny Jan cierpi dlatego, że mój brat mnie źle ocenił. Wiem, jest i inna przyczyna: im mniej wyda na Jana, tym więcej zostanie dla niego. Przynajmniej on tak myśli.

Numer pokoju Jana, 13, wywołał u Mary gorzki uśmiech. Zawsze wierzyła w szczęśliwą trzynastkę, aż do dziś.

Była pora lunchu. Jan siedział grzecznie przy stoliku i... spał.

“Biedaku – pomyślała Mary – siedzisz tu jak stary ptak w klatce i czekasz, żeby cię nakarmiono. Tu można tylko umrzeć, a nie wrócić do życia.”

Objęła go ramionami. Spojrzał na nią przytomnie:

– Ładnie wyglądasz – powiedział.

Mary wyjęła z kasetki spoczywającej w szufladzie i przypięła mu do koszuli wszystkie medale. Uśmiechnął się, kiedy mu zasalutowała.

Przez korytarzyki wypełnione stęchłym odorem starych ludzi powieźli go, w jego fotelu na kółkach, do sali ogólnej, dużej bawialni z masą różnych krzesełek ustawionych rzędem pod ścianami i z telewizorem w rogu. Było tu więcej światła i trochę roślin w donicach.

Pojawiła się pielęgniarka Grace, drobna blondynka, która była Polką, popychając na wózku jakąś staruszkę. Powiedziała:

- Cześć, Mary, twój ojciec mówił dziś o tobie.

“Cud, pomyślała Mary, po raz pierwszy uznano mnie tu za córkę Jana! Formalnie i oficjalnie, no, no.”

- Jak rozmawialiście? Po polsku? - zapytała. Grace w końcu była zatrudniona tu, żeby rozmawiać w rodzinnym języku z pacjentami takimi, jak Jan. W tym domu mieszkało kilku Polaków.

Grace pokręciła głową przecząco:

- Nie, on nie chce mówić po polsku. Nawet mnie to dziwi.

Rozumie mnie, a zachowuje się tak, jakby chciał mnie powstrzymać, żebym do niego nie mówiła po polsku.

Mary poczuła ucisk w sercu.

– Mów do niego. On się boi. Myśli, że to coś złego. Jego opiekun nie zachęca go do mówienia po polsku. Nie chce uznać, że jego ojciec jest Polakiem. A on nie nazywa się James Wilson, tylko Jan Rogacki.

Grace zakręciła się przed Janem na palcach, zanuciła wysokim głosem coś wesołego, Mary nie zrozumiała słów, ale Jan się wyraźnie roześmiał! A potem mrugnęła do nich jeszcze raz i zniknęła, machnąwszy na pożegnanie ręką.

Mary bywała u Jana raz na tydzień, we wtorek. Przyjeżdżała po śniadaniu. Siadała z nim na werandzie, albo zabierała go na spacer, pchając jego wózek dookoła domu.

Żałowała, że nie może mu szczerze powiedzieć tego, co myśli. A myślała mniej więcej tak:

“Biedny Janie, siedzisz tu jak orzeł oskubany z piór. Jesteś tam, gdzie wsadził cię Charlie. Gdzieś na drodze życia zagubiłeś swoją dumę. Ale wierzę, że jak zobaczysz, że Polska o tobie pamięta, jak dostaniesz polskie medale... Janie, będziesz jeszcze dumny!”

Notatki spod Monte Cassino

Józef Poniatowski

*Fragmenty pamiętnika z lat wojennych, opracował Florian
Śmieja.*



Józef Poniatowski na Bliskim
Wschodzie, fot. arch. Zofii z
Poniatowskich i Floriana
Śmiejów.

[...] Staraliśmy się o ten wyjazd od kilku tygodni. Mieliśmy wyjechać 8.V., ale potem przyszło zarządzenie, podobno generała Andersa, żebyśmy przyjechali 13-tego, bo akcja zacznie się 15-tego.

Wyjechaliśmy tedy w sobotę i koło 10 rano znaleźliśmy się w II rzucie Korpusu, o 2 km od Venefro, w Sekcji Polowej Propagandy i Kultury. Zameldowaliśmy się u ppłk. Michniewicza. Przyjął nas uprzejmie, wyjaśnił bardzo ogólnikowo sytuację i nieco zmroził wiadomością, że gen. Anders nie tylko nie chce teraz zajmować się prasą czy korespondentami, ale jest przeciwny jeżdżeniu do oddziałów. Okazało się ponadto, że jest to skutek niepowodzenia w pierwszym natarciu.

Mamy pojechać do punktu opatrunkowego. Wita mnie kierownik punktu, porucznik-lekarz K. Opowiada, jak piekielną mieli robotę przez parę poprzednich dni. Przez ich ręce przeszli prawie wszyscy ranni Korpusu – ponad tysiąc. Było po kilkadziesiąt operacji dziennie. Prawie każdy potrzebuje co najmniej transfuzji krwi. Na trzy dni przed natarciem, Niemcy ostrzelali ich punkt zabijając dwóch lekarzy i kapelana. Stali wtedy o 3 km dalej, już blisko dolnego końca Inferno, ale po tym wypadku musieli się przenieść. Dr K. przyznaje, że nie jest pewne, czy Niemcy chcieli trafić w szpital. Wisiała wprawdzie wielka płachta z czerwonym krzyżem, ale była dość wyblakła, a wąż ostrzeliwują stale, bo wiedzą, że to ważna droga komunikacji. Przy tym, o parę godzin wcześniej udało im się „zmacać” i zapalić znajdujący się opodal skład amunicji.

W czasie naszej rozmowy, przysłuchujący się początkowo kapitan o okrągłej twarzy, odchodzi na bok, zakłada stulę i udziela

ostatnich Sakramentów leżącemu obok rannemu. Potem zdejmuję stulę i wraca do nas. Mamy wracać, ale czekamy pół godziny, ruch pod górą wciąż zamknięty.

Nam radzi pułkownik udać się przed północą z mułami niosącymi prowiant do 16. baonu, nie ma nic przeciw temu, żebyśmy dotarli do któregoś z leżących na linii kompanii, Mułów jest kilkadziesiąt, wszystkie objuczone, poganiacze Cypryjczycy, podobno doskonale pracują, nasz oficer i dwóch żołnierzy. Noc ciemna, księżyc wszędzie za parę godzin. Rozświetlają ciemności tylko błyski wystrzałów i wybuchów, czasem przetnie niebo łuk świetlnego pocisku. Ogień zresztą nie jest zbyt gęsty i nadal trudno zrozumieć, kto i do kogo strzela. Zdaje się, że to tzw. ogień nękający – dwie strony kładą wiązki pocisków tu i tam, zwłaszcza gdzie znając teren przewidują bądź nieprzyjacielską baterię, bądź skupienia ludzi czy transporty.

Idziemy jeszcze kilkaset kroków drogą w lewo, ku dolinie Maioli. Potem skręcamy od niej ścieżką wspinającą się zboczem na wzgórze Castiglione. Tempo marszu dość szybkie biorąc pod uwagę ciemność, pod górę i ciągłą potrzebę wyplątywania nóg lub głów z drutów telefonicznych. Czasu tracić nie należy bo jednak co noc na tych ścieżkach muły i ludzie giną, o czym świadczy dość często straszliwy zapach padliny. Palić tu już nie wolno, hałasować – jak najmniej. O kilka metrów przed tą zachodnią krawędzią, zresztą dość łagodnie zbiegającą ostatnie

dwa schrony, już najbliższe nieprzyjaciela wyjątkowo zakryte i z góry, z jednego z nich wyłazi kpt. Biegunowski, zastępca dowódcy batalionu, przebywający od paru dni z 2. kompanią

Kompania leży tu trzy dni. Zapytuję kapitana o warunki. Nie mają ze sobą ani koców, ani płaszczy. Spać w tych warunkach może tylko ten, kto już potwornie zmęczony. Prowiant przywożą w nocy mułami do batalionu, stamtąd – na ramionach. O ciepłej strawie nie ma mowy, o wodzie do mycia – również. Pytam, czy te przypadkowe strzelaniny, tam i ówdzie padające pociski nie dały się we znaki, czy też kogo z kompanii uszkodziło. „Proszę zobaczyć”, odpowiada po prostu kapitan. Prowadzi mnie o 20 m w lewo od swego schronu: półotwarte stanowisko, na środku mała grządka zruszonej ziemi i kamieni, zatknięty nawet jakiś krzyżyk, o ile dobrze dojrzałem... „Tu spoczywa podchorąży i strzelec, siedzieli w tym schronie, pocisk trafił sam schron, nie było co ratować”. Idziemy o kilkadziesiąt metrów w tył. Kapitan szuka węchem i dotykiem i łatwo znajduje. „Tu także pochowaliśmy dwóch, ale to o dzień wcześniej od tamtych”. Trzeci grób widziałem na wstępie do kompanii. A więc w ciągu trzech dni bez większych działań, w oczekiwaniu, na odcinku podobnym do innych, kompania miała 5 czy 6 zabitych nie licząc rannych. Najbardziej uskarżają się na móżdżerze. Ale w dzień dają się także we znaki niemieccy strzelcy wyborowi.

Oprowadza nas po terenie swej kompanii i zarazem opowiada. Po

żołniersku, po prostu. Bierze mnie coraz większy dla tych ludzi podziw. Pytam, czy zmęczenie i stałe napięcie nerwów nie odbiera im zdolności do walki, czy nie łudzą się, że po paru jeszcze takich dniach ktoś ich zluzuje i pójda na wypoczynek, czy rozumieją, że to dopiero wstęp, że przyjdzie największy wysiłek, w którym na nich właśnie przypadnie rola natarcia. To wszystko dobrze wiedzą. Wiedzą, że zadanie przez ich poprzedników przed paru dniami wykonane nie zostało, więc musi być wykonane przez nich. Spodziewają się każdej nocy rozkazu nacierania na Widmo i dalej na San Angelo. Nastrój twardego realizmu, coś wręcz przeciwnego do „słomianego ognia”, o który tak często i chyba niesłusznie jesteśmy pomawiani.



Polska Armia pod Monte Cassino, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 37-640-6, za pinterest.

Pomimo ciemności, horyzont rysuje się dość ostro, widać powyginaną linię wzgórz. Kapitan wyjaśnia: Maiola i ten grzbiet za nią, z naszej lewej strony – to region Karpackiej. Lewa krawędź tego grzbietu, za siodłem – to Monte Cassino, a to najwyższe wzniesienie na prawym końcu – to 593. Między nim i dalej w prawo, już przed nami położonymi San Angelo, 593 i in.,

w przedłużeniu Maioli to Gardziel Śmierci. W tym samym kierunku leży Masseria Albaneta - ruina pośrodku dolinki łączącej rejony działania obu dywizji. Jeszcze sporo w prawo wznosi się Monte Cairo, ale szczytu z powodu ciemności nie widzimy. Zupełnie już po prawej ręce leży Castel Belmonte, a już prawie z tyłu - Cifalos, skąd właśnie teraz strzela niemiecka artyleria. Ogień stamtąd najbardziej zdeprymował nasze bataliony 18 i część 13 na Widmie tragicznej nocy 11/12 maja, bo chłopcy myśleli, że są pod własnym ogniem.

Rzeczywiście, ogień artylerii, co prawda niezbyt gęsty, słyszymy ze wszystkich czterech stron. Z jednej własny, z trzech - nieprzyjacielski. Przypomina mi się bitwa pod Świszczowem w końcu lipca 1920 r., gdy także ogień był naokoło, ale tam rzeczywiście trzeba się było przemykać i wyślizgiwać będąc wewnątrz przeważających sił nieprzyjacielskich.

Jest już prawie pewne, że tej nocy zacznie się natarcie. Rzeczywiście o 6. zaczyna się koncert, Muszę jednak przyznać, że przynosi mi trochę rozczarowania. Spodziewałem się więcej. Uprzedzano mnie wprawdzie, że na skutek interferencji fal głosowych huk jest mniejszy niż wynikałoby z dodawania wszystkich jego źródeł, ale przypuszczałem, że przynajmniej jest zupełna ciągłość huku, że nie będzie w nim przerw. Jakkolwiek nerwy były napięte przez samą świadomość, że oto o kilka kilometrów już się toczy walka na śmierć i życie, straszliwa

próba naszego Korpusu, od której zależeć może jego sława i uzyskanie nowego atutu dla sprawy polskiej, ale też i utracenie na długo zdolności bojowej – zapowiadało się na razie, że ten dzień będzie osobiście dla mnie prawie zmarnowany. Widoku z tej grupy schronów rozrzuconej w w obszernym gaju oliwnym – żadnego, zresztą wiadomo, że i dalej go nie ma, bo wszystko zadymione. Już znacznie wcześniej przyszła wiadomość, że jeszcze w czasie nawały artyleryjskiej, zaraz po 7 rano Kresowa zdobyła nie tylko resztę Widma, ale o wiele ważniejsze Colle San Angelo, jedną z pozycji kluczowych.



Melchior Wańkowicz, korespondent wojenny 2 Korpusu

Polskiego Melchior Wańkowicz (1. z lewej) w towarzystwie nierozpoznanych osób, na szczycie „Widma”. W tle Monte Cairo, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

W miarę jednak upływającego czasu nastroje wyraźnie rzedły, chociaż nic konkretnego nie mówiono. Dowiedziałem się, że najciekawiej jest siedzieć w schronie podsłuchu radiowego i tam też przeważną część dnia spędziłem. Zostałem tam już Wańkowicza, który mając niezawodny instynkt dziennikarski utknął w tym podsłuchu od rana, siedział kamieniem pilnie notując. To słuchanie jest rzeczywiście fascynujące, ale mimo bardzo jeszcze dobrego tonu czołgistów wyczuwało się wyraźnie, że optymizm poranny był trochę przedwczesny. Koło południa Niemcy odebrali San Angelo, po paru godzinach nasi znowu tam częściowo wleźli, ale oczyszczenie wzgórza się nie udawało, straty od moździerzy były coraz większe, Karpacka też nie mogła ruszyć dalej. Batalion 6 majora Różyckiego dotarł na 200 m od Albanety i dalej nie mógł się ruszyć. Płynęły długie godziny bez oczekiwanego sukcesu. Przychodzi zapowiedź: o godz: 13.40 piechota rusza do natarcia na Albanetę, tymczasem okazuje się, że w ogniu nie może się ruszyć. Staje się konieczne przybliżenie jeszcze tych paru czołgów nie mogą się ruszyć, bo przed nimi kilkudziesięciometrowy pas gęsto zaminowany. Saperzy z początku oczyszczali przejście, ale zrobił się taki ogień, że leżą pod czołgami i nie chcą wyłazić. Przez dobre pół godziny trwa

wymyślanie na tych saperów, bo od oczyszczenia drogi dla czołgów zależy bardzo dużo, przecież Albaneta to pępek niemieckich pozycji. Słyszę rozkaz Drelicharza: „Ruszcie czołgiem, żeby wystraszyć tych sukinsynów, że ich przejedziecie”. Po chwili meldunek: „Ruszyliśmy, ale ci spryciarze powłazili pod stojący obok czołg z urwaną gąsienicą. Ich dowódca ppor. C. powołuje się na rozkaz pułk. S., że saperów należy oszczędzać. Nic, tylko wziąć kija i wyganiać te cholery”. „Strzel mu w łeb lepiej, to inni wyjdą”. O ile mi wiadomo, to zwrócono się wreszcie zupełnie poważnie do gen. Ducha o zezwolenie na zastrzelenie oficera dowodzącego saperami. Zezwolenie zostało podobno udzielone, ale zanim z niego skorzystano wyjaśniło się, że czołgiści trochę przesadzali, bo siedząc w czołgach nie doceniali bardzo silnego ognia moździerzy i spandauów uniemożliwiających pracę saperów. Ci ostatni próbowali pracować, ale co który głowę podniósł – strzelcy wyborowi nieprzyjaciela widocznie także rozumiejący sytuację, brali go na cel. Paru dostało, trudno się dziwić, że reszta wolą się chować.

Ku wieczorowi zaczęły napływać wiadomości o śmierci wyższych oficerów, Jurny nastrój czołgistów też zaczął nieco opadać. Czuć było zmęczenie, nawet w głosie Drelicharza (nazajutrz został ranny). Brakło im amunicji, mieli już kilku rannych, praca w nieustannym ogniu wyczerpuje. Wezwano z tyłu inny szwadron na zmianę, ale Drelicharz wybłagał, by go nie wycofywano – chce

doprowadzić swe zadanie do końca.

Na wieczór zaczęło się wszystko uspakajać bez rozstrzygającego wyniku dla którejkolwiek strony. Widmo było nasze, ale San Angelo i 575 m na odcinku Kresowej, a 595, 567 i Albaneta na odcinku Karpackiej pozostawały częściowo lub w całości w rękach Niemców. A nasze straty już były ciężkie i zmęczenie żołnierza – potworne.



Polska Armia pod Monte Cassino, fot. Narodowe

Nazajutrz obiecywałem sobie od wczesnego rana siedzieć na podsłuchu. Tam przybyliśmy o 10.20 – prawie o tej samej właśnie minucie gen. Anders otrzymał meldunek, że przed paru minutami patrol 12 pułku ułanów wszedł do klasztoru Monte Cassino. Okazało się także, że w nocy i nad ranem wzięto Albanetę, 595 i 567. W chwilę potem widzieliśmy gen. Andersa udającego się na nabożeństwo, które z tego tytułu zarządził.

Koło namiotu ppłk. Michniewicza spotykam go wraz z ppłk. Bąkiewiczem i dowiaduję się od nich, że za chwilę jedzie do zdobytego klasztoru grupa amerykańskich dziennikarzy w towarzystwie polskich oficerów. Błagam, by mnie przyłączyli. Ppłk. M. powiada, że nic nie ma przeciw temu, ale muszę się starać o samochód. .

Wyruszyliśmy po 1. Było z dziesięciu, a może i tuzin Amerykanów, z nimi ppłk. Bąkiewicz, paru oficerów informacyjnych, z prasy Bau, Mossin i ja, filmowcy: Jaszcz, Lipiński, Bazarewski, jeszcze jakiś jeden major z kilku żołnierzami i chorągwią do wy(*nieczytelne*) klasztorze, jeden kapelan i ktoś tam jeszcze.

Dojechaliśmy do tzw. car-parku – po prostu łączka u podnóża

góry. Dalej idzie już tylko wąska i trudna ścieżka pod górę do drugiego, górnego car-parku. Ruch na niej, oczywiście, jednostronny, a właśnie w dół prowadzą wziętych w klasztorze jeńców: trzy partie po dziesięciu. Młodzi chłopcy, bardzo widocznie zmęczeni, zarośnięci, sami spadochroniarze. Podobno w nocy ponad stu wyszło z klasztoru, który już był odcięty i poszło poddać się Anglikom, by nie dostać się w polskie ręce.

Poszli, ale naszych łazików nie puszczają. Decydujemy się iść pieszo. Droga ciężka, coraz to trzeba wymijać to łaziki, to grupy robotników włoskich, to patrole sanitarne, to niosących nosze z rannymi, albo trupy owinięte w koce. Trupy leżą także od czasu do czasu, o ile są owinięte, to wyglądają jak jakieś na pocztę przygotowane przesyłki, tylko buty z jednej strony sterczą. Gorzej gdy (*nieczytelne*) owinięte, albo nawet przykryte, bo wówczas rozkładają się i strasznie pachną.

Ścieżka – już wyłącznie dla pieszych i może od biedy mułów, nieco powraca, potem skręca przez siodło w lewo i znowu się podnosi. Jesteśmy tu już na terenie, który nieprzyjaciel może obserwować i ostrzeliwać. Pada zarządzenie, żeby iść w odstępach dwudziestu kroków jeden od drugiego. Mijamy nieco krzaków, widzimy już klasztor, a raczej jego ruinę, wyjątkowo nie zadymioną, tak blisko, jak jeszcze się tej groźnej kupy gruzów nie widziało. Ścieżka zwraca jednak jeszcze w prawo, biegnie równolegle z krawędzi, za którą leżą miski Maioli, aż osiągamy

wielki murowany budynek słynny z czasu walk Karpackiej „Domek lekarza”, uwija się trochę ludzi, a przed domkiem leży przy ścieżce rzędem pół tuzina trupów z niezasłoniętymi twarzami.

Za laskiem droga dość stromo się podnosi – to już wejście (*nieczytelne*) Monte Cassino. Nad nami wznosi się imponująca ściana stosunkowo mało naruszona – to jedyna ocalała północna ściana klasztoru.

Pnę się na wzgórze i sapiąc spotykam gdzieś w połowie wzgórza na kilkadziesiąt metrów przed murem – Wańkowicza. Nie jestem jego adoratorem, złości mnie jego blaga i interesowność, kłóciliśmy się często o sprawy redakcyjne, aż się prawie obraził – a jednak przyznać muszę, że tym razem opanował mnie podziw, jak poprzedniego dnia na widok tych żołnierzy wnoszących na górę żywność i amunicję. Z jego tuszą i w jego wieku, to naprawdę wyczyn sportowy.

Ścieżka wzdłuż ściany wyprowadza nas na zasypany gruzami plac zachodniej strony klasztoru, gdzie grzbiet jest najłagodniejszy. Sterczy tam jeszcze kilka pni drzew i ruiny jakichś zabudowań. Klasztor od tej strony wygląda opłakanie – potworne rumowisko. Po lewej stronie wejście do jakiegoś tunelu, zapewne niegdyś po prostu korytarza. Stoi tam paru naszych saperów. O parę kroków przed kupą jakichś gruzów

pomieszanych z puszkami od konserw itp. – coś się żarzy. Zapytani saperzy wyjaśniają, że to jeszcze Niemcy zapalili.

Patrol z chorągwią musi się wydrapać na szczyt rumowiska, by zawiesić chorągiew na którymś z najwyższych punktów. Drapię się za nimi, co jednak nie jest łatwe, ani całkiem bezpieczne, bo trzeba się dostawać po stromych i wciąż usuwających się pod nogami gruzach, a ponadto nikt nie wie, czy teren nie jest zaminowany. Toteż z całej grupy liczącej ze trzydzieści osób wydrapało się na górę zaledwie siedem-osiem. Spośród Amerykanów widziałem na górze dwóch, Bau i Mossin zostali na dole, Wańkowicz, oczywiście, także... Samo zawieszenie chorągwi polskiej, a obok, ale trochę niżej – brytyjskiej odbyło się właściwie bez żadnej uroczystości, nikt nawet nie krzyknął „Baczność”.

Widać z góry dobrze obszerny arkadowy dziedziniec wewnętrzny, poważny i harmonizujący, ale mocno zniszczony. Figura założyciela klasztoru i zakonu, św. Benedykta, stoi żałośnie na ziemi bez głowy i ręki. Na przeciwległej ścianie – mały proporczyk ułanów, którzy pierwsi tu weszli. Poza tym – gruzy, gruzy, gruzy.

Zastanawiałem się, jak się to stało, że pomimo wszystko taki zwykły murowany, choćby i solidnie, budynek mógł choćby w stanie zburzonym uchronić załogę zarówno w czasie tyłu

ciężkich bombardowań lotniczych (*nieczytelne*) artyleryjskich. Jak nazajutrz zeznawał dca załogi, Niemcy prawie nie mieli tam strat od ognia.

Na dole zastałem zaledwie kilka osób. Część już pomaszerowała z powrotem, gdy byliśmy w klasztorze, jakiś pocisk padł przy ścieżce, którą niedawno przechodziliśmy, a ponadto odgłosy walki artyleryjskiej od północy jakoś się ożywiły i ostatecznie nikt dobrze nie wiedział, kto skąd i do kogo strzela.. Nie widziałem także Baua i Mossina, którzy, jak się potem okazało, chodzili jeszcze po różnych wewnętrznych zakamarkach. Sądząc, że już poszli, a będąc z nimi związany wspólnym łażikiem, musiałem się spieszyć. Poszedłem więc tylko jeszcze wzdłuż głównego korytarza, u wejścia do którego żar jeszcze nie wygasł, zajrzałem do jednego z bocznym zakamarków i wycofałem się. Słyszałem, że w jednym z bocznych korytarzy siedzą trzej ranni Niemcy jeszcze nie ewakuowani, ale nie mogłem się przemóc, by iść ich oglądać. Wziąłem spod muru klasztornego odłamek pocisku na pamiątkę i zabrałem się do powrotu.

Gdzieś na początku lasu spotkałem Baranowskiego, który mi powiedział, że czeka na resztę filmowców i że Bau i Mossin zapewne jeszcze nie wyszli. Nie chciałem już jednak wracać, by się nie rozminąć. Gdy szedłem ścieżką poprzeczną wzdłuż Onufrio – ogień się jeszcze ożywił, a trzy pociski padły o kilkadziesiąt metrów poniżej podstawy klasztoru. Zauważyłem

obok ścieżki bardzo rozłożonego trupa – jeszcze chyba Anglika lub Amerykanina sprzed nadejścia na odcinek naszych oddziałów. Kamienie ścieżki w wielu miejscach silnie pokrwawione. Gdy dochodziłem do „Bramki”, słysząc było bliskie serie kmów. Tłumaczyłem sobie, że to nasi likwidują ostatnie pozostałe wzgórze 575, ale nie bardzo mi się to podobało. Odcinek pomiędzy Domkiem Lekarza a „Bramką” już nie tylko Amerykanie, ale i nasi żołnierze przebywali biegiem. Koło Domu Lekarza też jakiś ruch bardziej gorączkowy niż przedtem. I ta seria karabinów maszynowych jakby gdzieś o paręset metrów, w dolinie Maioli. Później się okazało, że kontrataku na Albanetę nie było, ale San Angelo, wbrew poprzednim wiadomościom, nie było jeszcze w całości zdobyte jak i 575, a więc bitwa toczyła się od naszej ścieżki chyba nieco ponad kilometr.

Zszedłem do dolnego car-parku koło piątej, a w kilka minut potem zjawili się także filmowcy oraz Bau i Mossin. W II rzucie zastałem Rubla, zadowolonego z trzydniowego pobytu w 1 pułku artylerii lekkiej. Przyniosłem przywiezioną z Neapolu butelkę whisky oraz zachowany z Campobasso kawałek wędzonki i z Wackiem, Bornholzem i Rublem popiliśmy nieco pod to całe piękne zwycięstwo.

Następnego dnia pojechaliśmy z Rublem do sztabu Karpackiej szukać okazji do jakiejś wycieczki. Szczęśliwie się udało, dostaliśmy łazika i pojechaliśmy obejrzeć pole bitwy na wzgórzu

598, zdobytym poprzedniego dnia rano, na parę godzin przed klasztorem.

Tym razem udało się dojechać aż do górnego car-parku, co oszczędziło nam dużo zmęczenia i czasu, zwłaszcza że Rubel ma jedną nogę słabą (po złamaniu) i chorobę przestrzeni. Swoją drogą podziwiałem, jak łazik piął się po tej wściekle stromej serpentynie, ale się piął.



Kapral Emil Czech gra hejnał mariacki,
ogłaszając zwycięstwo pod Monte
Cassino, fot. Pinterest.

My tymczasem doszliśmy normalnie do „Bramki”, stamtąd ścieżką pod górę i niezadługo znaleźliśmy się pod grzebieniem z którego nacierali nasi ułani. Czuć tam było jeszcze silnie atmosferę niedawnej walki. Kamienie zarzucone częściami umundurowania, odłamkami pocisków i granatów ręcznych, gilzami, niewypałami, częściami broni. Tu i ówdzie leżało jeszcze kilka trupów. Oto dwaj nasi żołnierze spaleni przez leżący obok, już zniszczony, niemiecki miotacz płomieni. Jeden leżąc szczerzy z wypalonych ust złote zęby, drugi, prawie na czarno zwęglony, pół siedzi w jakimś strasznym skurczu. A oto pokazują tzw. bunkier niemiecki. Dziura w skale dość głęboka, przykryta *zo(nieczytelne)* tylko szczelina szerokości 20-30 cm, ale skierowana ku górze. Żeby z tego strzelać, trzeba wyleźć, albo co najmniej mocno się wychylić.

Ze wszystkiego widać, że tu, gdzie stoimy, musiała się odbywać rzeczywiście walka prawie wręcz, na niezmiernie bliską odległość. Po ziemi leżą liczne zawleczone od ręcznych granatów – rzucanych przecież nie dla ćwiczenia. Oglądamy szereg stanowisk, gdzie leżeli Niemcy, gdy już nasi zajęli sam szczyt – są

to wnęki może o metr lub dwa za krawędzią skalną okalającą szczyt, a więc o kilka lub kilkanaście metrów od stanowisk, gdzie już byli nasi. Jedni leżeli po jednej, drudzy po drugiej stronie wysokiej na kilkadziesiąt cm krawędzi i rzucali do siebie granatami nie mogąc się podnieść, bo każde wychylenie się oznaczało śmierć.

A za krawędzią z prawej strony – dość stromy spadek w dolinę pośrodku której bieleje spora ruina obok której stoi parę unieruchomionych czołgów – to właśnie Masseria Albaneta, klucz całej pozycji. Oczywiście, łatwo powiedzieć: klucz, ale przecie nikt by się tam długo nie utrzymał mając nieprzyjaciela na 593 i na San Angelo widocznym z drugiej strony. A więc kluczem są te trzy punkty łącznie, czy też dla otwarcia tej górskiej bramy potrzebne są trzy klucze. Ale zdobywanie Albanety, gdy jeszcze ani S. Angelo, ani 593 nie były opanowane w zupełności, to rzeczywiście, na oko sądząc, zadanie dla szaleńców. Dlatego tyle kosztowało i dlatego mogło się udać tylko pod osłoną nocy i czołgów.

Strzelanina już tego dnia była znacznie odleglejsza, dymy wykwiwały na zboczach Monte Cairo, gdzieś w kierunku Passo Corno – bardziej w lewo od Piedimonte.

Po długiej, żałosnej wędrówce dotarliśmy wreszcie do dolnego car-parku wyglądając jakiejś okazji. Tym razem udało się, bo nie

wiadomo dlaczego dwaj Anglicy, którzy byli z nami, a zjechali w dół już przeszło godzinę temu, jeszcze nie odjechali i uprzejmie zaproponowali nam miejsce. Dowieźli nas do sztabu III dywizji. Tam zjedliśmy podwieczorek w towarzystwie gen. Ducha i ppłk. Piątkowskiego i dostaliśmy łazika na dalszy powrót.

Nazajutrz kończył się nasz tygodniowy wypad. Rano pojechaliśmy jeszcze do I rzutu podziękować za opiekę i pomoc, na obiedzie spotkaliśmy majora Czapskiego i kapitana Gierata, którzy przyjechali osobowym samochodem i z nimi wróciliśmy bez przygód do Neapolu.

Józef Poniatowski (1897-1995) ekonomista, redaktor naczelny „Orła Białego” na Bliskim Wschodzie i we Włoszech (1942-1944), Minister Spraw Krajowych w gabinecie dr Stanisława Ostrowskiego w Londynie.